



DOLORES REDONDO

KSZTAŁT SERCA

Królowa literackich thrillerów
Carlos Ruiz Zafón, autor *Cienia wiatru*



DOLORES REDONDO

KSZTAŁT SERCA

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Iwona Michałowska-Gabrych



TYTUŁ ORYGINAŁU:

La cara norte del corazón

Redaktor prowadząca: Ewelina Kapelewska

Wydawca: Małgorzata Świącicka

Redakcja: Adrian Kyć

Korekta: Bożena Sęk

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcie na okładce: © Oladimeji Odunsi / Unsplash.com

DTP: Maciej Grycz

La cara norte del corazón © by Dolores Redondo Meira, 2019

By Agreement with Pontas Literary & Film Agency

Copyright © 2020 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Iwona Michałowska-Gabrych, 2020

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2020

ISBN 978-83-66654-80-8



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECTWO

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiectwo

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

1 / ALBERT I MARTIN

Brooksville, Oklahoma

ALBERT

Albert miał jedenaście lat i nie był złym chłopcem, ale w dniu zabójstw nie posłuchał rodziców. To nie tak, że lubił się im sprzeciwiać – po prostu sądził, że ostrzeżenia, podobnie jak wszystkie poprzednie, są na wyrost. Od wielu godzin prognozy bębniły o zderzeniu dwóch frontów atmosferycznych, ciepłego i zimnego, które może wywołać nawałnicę i trąby powietrzne. Podobne alerty słyszał jednak od początku wiosny. Jego matka nastawiała telewizor w kuchni na cały regulator, nie bacząc na to, że w kółko powtarzano w nim ten sam serwis informacyjny, i biada temu, kto ośmielił się ściszyć dźwięk lub przełączyć program. Rodzice Alberta traktowali tornada bardzo poważnie, czego on sam kompletnie nie pojmował, bo ich dom jeszcze nigdy w żadnym nie ucierpiał. Rano, kiedy powiedział, że umówił się z Timem Jonesem w jego domu, stanowczo zabronili mu wychodzić. Trzy lata wcześniej wichura dotkliwie uszkodziła dom Jonesów i nie było powodu sądzić, że tym razem go ominie. Temat był zamknięty. Cała rodzina miała pozostać w domu, a kiedy odezwą się syreny, zejść do schronu.

Albert nie protestował. Po śniadaniu grzecznie włożył kubek do zlewu i wymknął się tylnymi drzwiami. W połowie drogi na ranczo

Jonesów zaczęło do niego docierać, że coś jest nie tak. Chmury, które od rana zakrywały niebo, rozstępowały się gwałtownie, a wyglądające spomiędzy nich słońce rysowało na ziemi bohomy z światła i cienia. Wszystko znieruchomiało i zapadła cisza, której nie przerywał ani jeden ptak. Pola stały puste, bo sprzęt tego dnia nie wyjechał z hangarów. Albert wyteżał słuch, lecz usłyszał jedynie odległe wycie psa. O ile to był pies. Pierwsze porowy wiatru nadciągnęły, gdy widział już w dali posiadłość Jonesów. Przestraszony, ruszył pędem, wbiegł po schodkach na werandę i z całej siły zaczął walić w drzwi. Nikt mu nie otworzył. Chłopiec przebiegł na tył domu, ale i kuchenne drzwi, zwykle otwarte, dziś były zamknięte naглуcho. Przytknął dłonie do szyby i zerknął do kuchni. Pusto.

Wtedy to usłyszał. Cofnął się o dwa kroki i wyjrzał zza węgła. Tornado kroczyło przez pustą prerię niczym ryczący demon owinięty płaszczem utkany z pyłu, mgły i zniszczenia. Zahipnotyzowany potęgą żywiołu i zadziwiony jego magnetyzmem, Albert nie mógł oderwać oczu od nadciągającej grozy, póki jej widoku nie przysłoniły mu łzy zrodzone z trwogi i podrażnienia unoszącym się w powietrzu piachem. Otarł je i rozglądał się gorączkowo w poszukiwaniu jakiejś kryjówki.

Jonesowie mieli schron, chyba gdzieś po drugiej stronie domu... ale nie znał dokładnie jego położenia, a poza tym było za późno, by tam wracać. Raz jeszcze obejrzał się na nadciągające monstrum i pobiegł w stronę kurnika, modląc się, by i on nie był zamknięty. Na szczęście kurzego domku strzegł jedynie prowizoryczny zamek z przymocowaną gwoździem deseczką, którą wciskało się w zagłębienie we framudze. Albert zamknął się w środku. Nim zaczął cokolwiek widzieć w skąpym świetle sączącym się przez szpary, tkwił w całkowitych ciemnościach, spazmatycznie łapiąc oddech po szalonym biegu i niemal dławiąc się dusznym fetorem piór i kurzego łajna. Klepał się po kieszeniach w poszukiwaniu inhalatora, choć pamięć podpowiadała mu, że zostawił go na stoliku przy telewizorze. Z trudem powstrzymywał łzy, wsłuchany w ryczącą na zewnątrz bestię. Czyżby przycichła? Może już się oddala? Przywarł do podłogi,

nie zważając na to, że przez spodnie przesączają mu się miękkie, ciepłe odchody zwierząt, i wyjrzał przez szparę między deskami. Tornado istotnie skręciło, ale jedynie po to, by wrócić ze zdwojoną siłą. Patrzył, jak idzie przez prerię niczym żywa istota ulepiona ze wszystkiego, co zagarnia po drodze. Cofnął się w głąb kurnika i dopiero wtedy zobaczył kury. Siedziały cichutko w jednym kącie, tak stłoczone, że dosłownie wchodziły sobie na głowy. Wiedziały, że zginą – i wtedy zrozumiał to także Albert. Roztrzęsiony, podczołgał się i wcisnął pomiędzy ptaki. Milcząca zgoda, z jaką przyjmowały swój los, ustąpiła miejsca serii długich, głębokich gdaknięć przypominających krzyki śmiertelnie przerażonego człowieka. Krzyczał też Albert. Wzywał matkę, czuł, jak powietrze ucieka mu z płuc, i wyobrażał sobie małe komórki, które pokazał mu na rysunku lekarz, zbite, zduszone, niezdolne do przechowywania tlenu. Mimo to krzyczał, krzyczał do utraty tchu, wsłuchany we własny lament przypominający płacz noworodka. Gdy ryk bestii pochłonął i ten dźwięk, Albert wiedział, że jest po wszystkim. Ostatnim, co poczuł, nim kurnik rozpadł się na kawałki, było ciepło ciekącego mu po nogach moczu.

MARTIN

Słońce świeciło wysoko na błękitnym niebie, którego perfekcji, niczym w jakiejś groteskowej postapokalipsie, nie zakłócała ani jedna chmurka. Martin poczuł, jak między krótkimi, starannie zaczesanymi włosami spływa mu z głowy kropla potu. Nerwowym gestem dotknął karku i przekonał się, że kołnierz jest wilgotny. Czubkiem wyglansowanego buta rozgarnął trociny i gruz, tworząc zagłębienie, w którym postawił walizkę. Otarł szyję wyjętą z kieszeni białą tekstylną chusteczką. Starannie ją złożył i schował, po czym zlustrował wzrokiem swój ubiór: idealnie wyprasowane spodnie, nieskazitelne obuwie. Poniewczasie stwierdził, że zamiast prostej marynarki z gładkiego drelichu powinien był wybrać coś lżejszego, by nie

zgrzać się tak w upale, który nastąpił po przejściu tornada. Jak okiem sięgnąć wszystko wokół było zrównane z ziemią, nie licząc małego czerwonego spichlerza stojącego obok schodów do schronu, w którym ukryli się przed żywiołem Jonesowie. Martin podniósł walizkę i ruszył w tamtą stronę. Na chwilę się zatrzymał i wciągnął w płuca zapach dochodzący z ciemnej sutereny: grzyby, torf, wreszcie lekka nutka moczu... Serce zabiło mu mocniej. Tu nikogo nie ma. Ruszył w kierunku domu, a raczej tego, co z niego pozostało.

ALBERT

Nim jeszcze otworzył oczy, zorientował się, że nie może się ruszyć. Na piersi czuł ogromny ciężar. Gdzieś w oddali usłyszał głosy Jonesów i zaczął krzyczeć. Ściśnięte płuca poddały się po trzech oddechach. Zemdlał.

Kiedy ponownie się ocknął, oślepiło go światło. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny, ale tym razem postanowił nie wpadać w histerię, by nie zemdlec po raz kolejny. Przeanalizował swoje położenie. Przygniatała go drewniana płyta, najpewniej pochodząca z dachu kurnika. Lewą dłonią wymacał jej brzeg. Nie była gruba. Prawdopodobnie docisnęła ją jedna z masywnych belek, które przed kataklizmem podtrzymywały konstrukcję. To dlatego nie mógł się ruszyć. Oddychał z wysiłkiem, wciągając powietrze ustami. Piekło go poranione drzazgami czoło, a zatkany śluzem i krwią nos pozwalał uniknąć zakrzuszenia się zwierzęcym fetorem. Części zniszczonego kurnika nie tylko przygwoździły chłopca do ziemi, ale też z całą pewnością złamały mu lewą nogę. Choć tkwiła w całkowitym bezruchu, ból przeszywał ją niczym odłamki szkła. Prawą dłonią Albert wyczuł leżące obok ciepłe jeszcze ciało kury. Pocięły mu łyzy. Wiedział, że jeśli chce przeżyć, musi zachować spokój. Skoncentrował się na miarowym oddechu, jak podczas ataków astmy. Oddychał ustami, wytężając się i starając brać wdechy tak głębokie, jak tylko pozwalał ciężar na piersi. „Świetnie, kochanie” – słyszał

w głowie głos matki, która dodawała mu otuchy podczas takich ataków. „Wspaniale. Właśnie tak”. Na jej wspomnienie znów napłynęły mu do oczu łzy. „Jestem taki mały i głupi!” – pomyślał i otrząsnął się, co nie było najlepszym pomysłem: zmasakrowana noga zareałowała gwałtownym bólem i chłopak znów począł dyszeć, tracąc tę odrobinę kontroli nad oddechem, którą udało mu się odzyskać. Kolejne minuty poświęcił na liczenie wdechów i wydechów. O matce starał się nie myśleć. W końcu opanował się trochę i nie zważając na to, że znów harata sobie czoło, obrócił głowę w prawo i próbował coś dostrzec przez otwór w resztkach kurnika.

Nie widział nieba, ale jako wiejskie dziecko zorientował się po odcieniu światła, że jest wczesne popołudnie i że tornado całkowicie przegnało chmury, które rankiem zakrywały firmament. Jakie to szczęście, że pan Jones dwa dni wcześniej skosił trawę. Inaczej leżący na ziemi Albert nie zauważyłby nadchodzącego od strony prerii mężczyzny. Od razu się zorientował, że to nie ojciec Tima. Nieznajomy miał odznakę na piersi i walizkę w rękę. Albert wziął oddech tak głęboki, jak tylko się dało, i... zamiast wrzasku z jego piersi wyrwało się jedynie ochryple, stłumione stęknięcie. Mężczyzna omiół wzrokiem ruiny kurnika. „Zaraz tu przyjdzie” – pomyślał chłopak. W tym momencie leżąca obok jego prawej dłoni kura, którą dotąd uważał za martwą, ruszyła w stronę szczeliny w deskach i wydostała się na zewnątrz. Nieznajomy odwrócił wzrok i na nowo podjął marsz w stronę domu. Albert wybuchnął płaczem, nie troszcząc się już o oddech. Po co się tym przejmować, skoro i tak umrze?

MARTIN

I znów te wątle lamenty, które słyszał już dziesiątki razy. Słowa, kogo obchodzą słowa? Wszyscy, którzy przetrwali kataklizm, mówili to samo. Czyjś zdławiony głos groteskowo usiłował zaszcześcić w innych ducha walki, który przychodził na świat bez głowy i wykrwawiał się, gdy nieszczęśnicy przeszukiwali gruzy w poszukiwaniu

czegokolwiek, co pozwoliłoby im odczuć choć odrobinę obowiązkowej radości z faktu, że przeżyli.

Szesnastoletnia mniej więcej dziewczyna zbierała pośród gruzów kolorowe apaszki, którymi następnie wymachiwała jak gimnastyczka wstążkami, kreśląc w powietrzu wzór z kurzu i pyłu, a potem wieszła je sobie na szyi. Ona pierwsza zauważyła Martina. Zawołała coś do pozostałych, wskazując go długim palcem o krótkim, pomalowanym na czarno paznokciu. Przez pozostałości czegoś, co kiedyś było oknem, patrzeli, jak nieznajomy zmierza ku nim uślaną drzazgami łaką. On sam przyglądał im się z zadowoleniem. Oprócz dziewczyny było tam dwóch chłopaków, jeden mniej więcej w jej wieku, drugi liczący na oko poniżej dwunastu lat. Starszy ubrany w koszulkę zespołu rockowego, młodszy z włosami za długimi jak na chłopca. Pan Jones nie rozczarował Martina: popłakiwał na schodkach tego, co pozostało z werandy, a obok niego spoczywały butelka wody, kilka batoników czekoladowych i rewolwer. Gestem absolutnej rozpaczycy obejmował głowę, podczas gdy starusieńka matka tuliła go i kołysała niczym małego chłopca. Nieco dalej, bezczelnie i wścibsko przyglądając się przybyszowi, stała około czterdziestopięcioletnia kobieta. „Żona gospodarza” – zawyrokował. Ładna i smukła, z włosami ufarbowanymi na nienaturalnie czerwony kolor, który nie przydawał jej uroku, na rękach trzymała jednego z tych maleńkich głupawych piesków, skomlącego wniebogłosy. Martin dumnie wypiął pierś z odznaką, by nikt jej nie przeoczył. Ożywiona jego widokiem rodzinka jak jeden mąż ruszyła ku drzwiom, a raczej ku wielkiej dziurze we frontowej ścianie domu. Pani Jones, nie wypuszczając z rąk psiaka, poprawiła dekolt i lekko przyglądziła włosy, po czym zeszła po schodach i rzuciła Martinowi promienny uśmiech. Odpowiedział tym samym, nienawidząc jej w duchu za to, że jest zdolna do takiego zła, takiego zepsucia, takiej zgrozy i tak niepojętej obrazy boskiej. Wyciągnął rękę i jeszcze zanim dotknął dłoni kobiety, podjął decyzję, że choć zwykle zaczyna od starych, tym razem to ją zabije pierwszą.




Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 facebook.com/wydawnictwo.mova



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059